

# SYNER



KRAKÓW \* ROK II \* NR. 2  
PAŹDZIERNIK \* 1941

WYSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY





# Buty Kasi

Kasia mała dziś dostała  
butki lakierowe.  
But na nogę i na drogę:  
— Patrzcie, jakie nowe!

A te buty, szalputy,  
poszły środkiem drogi;  
potupały, poskakały,  
przemoczyły nogi.

Buty nowe poszły rowem,  
poszły brzegiem szosy,  
pochlapały, poszurały,  
zabłocily nosy,

Buty żywe, obrzydliwe,  
siedziały na bakier,  
pochodziły, potańczyły,  
pozdierały lakier.

Gdy wracała Kasia mała  
wieczór na kolację,  
brudne łapy, z butów ciapy —  
mama miała rację,

bo mówiła i radziła,  
żeby buty schować;  
Kasia mała nie słuchała —  
późno już żałować.



Słonko dogrzewa. Świat raduje się  
zapachem kwiatów, brzęczeniem owa-  
dów i śpiewem ptasząt. I dzieci się  
radują. Biegają, skaczą, aż się pome-  
czyły.

Siedzą teraz dzieci na zielonej tra-  
wie pod szumiącą brzoźką. Bawią  
się w czarodzieja. Jaś, Zosia, Franuś  
i Marysia siedzą rzędem na trawie.  
Wicek jest czarodziejem. Stał  
przed Jaśkiem, palcem puka go po  
głowie i mówi:

— Tere — pere, karabusi,  
dzisiaj mnie każdy słuchać musi,  
jestem pan nad pany,  
czarodziejem zwany.  
Zamieniam cię w takie zwierzę,  
co ostrogi ma i pierze,  
co na płocie często siada  
i bogodę przepowiada.

Oho, Jaś już wie, co to za zwierzę!  
Więc głośno zawołał:  
— Ku-ku-ry-ku!

Niby czarodziej w koguta go za-  
mienił.

Teraz Wicek staje przed Zosią  
i powiada:

— Tere — pere, karabusi,  
dzisiaj mnie każdy słuchać musi,  
jestem pan nad pany,  
czarodziejem zwany.  
Zamieniam cię w takie zwierzę,  
które w nocy domu strzeże!

A Zosia dalej ujadać: — Hau, hau,  
hau!...

Na końcu siedzi Marysia. Nie-  
cierpliwi się bardzo. Kiedyż ją ten  
Wicek w jakieś zwierzę zamieni...

No, ona to dopiero wyda głos jak  
prawdziwe zwierzę!

Bo co tam takie niemrawe Jaśkowe



pianie lub Zosine szczekanie! A Wicek już zamienił Franusia w kozę i, Marysię palcem w głowę pukając, tak mówi:

— Tere — pere, — karabusi,  
dzisiaj mnie każdy słuchać musi,  
jestem pan nad pany,  
czarodziejem zwany.  
Zamieniam cię w takie zwierzę,  
co w wodzie oddycha,  
a na powietrzu zdycha!

A Marysia ani chwili nie pomyślała o tym, co to może być za zwierzę. Ale zato wrzasnęła tak przeraźliwie, że aż dzieci rękami uszy pozatykały. Potem wszyscy głośno zaczęli się z niej śmiać. Mańka zaczerwieniła się jak burak. A Wicek powiada:

— Oj, Mańka, Mańka, czy słyszałaś, żeby kiedy ryba tak przeraźliwie krzyczała?

Zrozumiała Marysia, że głupio zro-

biła. A Wicek popukał ją po głowie palcem i mówi:

— Za twe zbytki,  
zwierzę brzydki,  
ukarać cię muszę srodze:  
będziesz kamieniem przy drodze.

Przykucnęła Mańka w trawie i udaje, że się w kamień zamieniła.

A teraz dzieci, zamienione na niby w zwierzęta, krzyczały:

— Ku-ku-ry-ku! Hau, hau, hau!  
Be-e-e!

Wicek krzyknął:

— Łapcie czarodzieja!

I dalej uciekać...

Rzuciły się dzieci za nim. Które dziecko pochwyci Wickę, zostaje czarodziejem. Tylko Mańka nie bierze udziału w gonitwie, bo przecie kamienie nie biegają.

Musi teraz czekać, aż ją nowy czarodziej w jakieś zwierzę odmieni.

Ed. Chodak.

## JANIA W SZKOLE

### PIERWSZA LEKCJA — Czytanie.

Pani się gniewa na małą Janię,  
że nie uważa, nie patrzy w książkę,  
lecz zawiązuje u włosów wstążkę.

— Ach, proszę pani, właśnie ta kartka..

Nie wiem dlaczego z książki wydarta...

To nieuwagi mojej przyczyna,

ale to przecież nie moja wina!



### DRUGA LEKCJA — Przepisywanie.

Pani się znowu gniewa na Janię.

Dziewczynki piszą, ona nie pisze.

Jakąż wymówkę teraz usłyszę?

— Miałam dwie stalki dzisiaj od rana:

jedna zginęła, druga złamana.

Nie można pisać, gdy brak stalówki...

— Ej, Janiu, różne ty masz wymówki!...





## TRZECIA LEKCJA — Rysunki.

Lekcja już trzecia,  
rysunki teraz. Mirka i Tacia,  
Zosia i inne — pewno je znacie —  
rysują ślicznie gwiazdę w kwadracie.  
A jakaż marna tej Jani praca:  
rozmawia tylko, wciąż się odwraca.  
— A teraz, Janiu, jaka wymówka?  
— Ja... proszę pani... nie mam ołówka...

Pani nic na to nie powiedziała,  
Jance z pilności zły stopień dała.



*Michalina Szczepankowska*



## Psie z kulawą nogą

Przykuśtykał do nas drogą chudy pies z kulawą nogą. Jedną łapę trzymał w górze i tak włókł się przez podwórze. Usiadł w kącie, lizał nogę i wyglądał wciąż na drogę. Dzieci się ulitowały i do domu go zabrały. Ogrzały go, nakarmiły, na spacer poprowadziły. Pies w kuchni się usadowił i prędko się zadomowił. Bawił się z Jurkiem i Manią, szanował pana i panią, znał stróżową, sklepniczkę, lecz kochał tylko kucharkę. Być może, stąd miłość cała, że kucharka też kulawa.

Wieczorem, gdy usną dzieci, nasz pies do kuchni przyleci. Położy się na podłogę, wyciągnie swą chorą nogę, wzrokiem toczy po pułapie, na muchy paszczką kłapie, wciąż pociąga czarnym nosem, poziewując grubym głosem. Uważnie nadstawia ucha i kucharki słucha, słucha. Ona jak najęta gada i psu dziwy opowiada.

O stryju, co na wsi mieszka, co robi ciotka Agnieszka, o Józku, Bartoszu chromym, o swoich dawnych znajomych, o Mańce, Jance, Agatce, o Marcinowej — sąsiadce,

i o wielu innych jeszcze, których już tu nie pomieszczę.

Pies nadstawia pilnie ucha i kucharki słucha, słucha. A czasem (lecz bardzo rzadko), gdy znuży się jakąś gadką, to pociąga czarnym nosem, poziewuje grubym głosem.

Kiedyś, raz, tak przy niedzieli, przyszedł stróż, imię pan Marceli, właśnie wtedy, gdy kucharka na łóżku swoim siedziała i psu baje opowiadała. Pan Marceli siadł za stołem i słuchali obaj społem.

O stryju, co na wsi mieszka, co robi ciotka Agnieszka, o Józku, Bartoszu chromym, o swoich dawnych znajomych, o Mańce, Jance, Agatce, o Marcinowej — sąsiadce i o wielu innych jeszcze, których już tu nie pomieszczę.

Gdy przestała wreszcie gadać, pan Marceli tak powiada:

— Czy nie zbrzydło wam tak długo być u obcych ludzi sługą? Kochacie tak wieś rodzinną, to zostańcie moją żoną. Mam ja na wsi swój domeczek, przy domeczku ogródeczek, co



go dostał teraz w spadku po moim ciotecznym dziadku. Nie namyślajcie się wiele, ślub weźmiemy w trzy niedziele, a zanim minie sześć niedziel, do siebie na wieś pojedziem.

Nasz pies, smutny, został w domu, nie dał ruszyć się nikomu. Próżno i Jurek i Mania przymuszali psa do spania; nie spał, nie jadł i nie szczekał. Pewnie na kucharkę czekał. Aż raz, chyłkiem, po kryjomu, nasz pies rankiem wyszedł z domu. Pokuszył się od nas drogą chudy pies z kulawą nogą.

Potem tacy nam mówili, którzy kiedyś na wsi byli, że tam pani Marcelowa psa wiernego sobie chowa. Chowa psa z kulawą nogą, który przyszedł za nią drogą. A wieczorem przy niedzieli, kiedy w domu jest Marceli, Marcelowa się rozsiada, różne dziwne opowiada. Czasem zejda się sąsiadki, tej czy innej słuchać gadki. Pies się kładzie na podłogę,

wyciąga swą chorą nogę, wciąż pociąga czarnym nosem, poziewuje grubym głosem. Uważnie nadstawia ucha, Marcelowej słuca, słuca. Ona jak najęta gada i swe dziwne opowiada.

O stryju, co na wsi mieszka, co robi ciotka Agnieszka, o Józku, Bartoszu chromym, o swoich dawnych znajomych, o Mańce, Jance, Agatce, o Marcinowej — sąsiadce i o wielu innych jeszcze, których już tu nie pomieszczę.

Marcelowa plecie bajkę, a Marceli kurzy fajkę. Pies nadstawia pilnie ucha, Marcelowej słuca, słuca. A czasem (lecz bardzo rzadko), gdy znuży się jakąś gadką, to pociąga czarnym nosem, poziewując grubym głosem.

Ale dobrze wiemy tyle, że na cztery wokół mile słynie pani Marcelowa, która psa wiernego chowa. Chowa psa z kulawą nogą, który przyszedł za nią drogą.

Wanda O.



## PIECZENIE ZIEMNIAKÓW

Zamiast bitek  
i krzyków,  
co się dają  
we znaki —  
naznosimy  
patyków,  
będziem piekli  
ziemniaki!

Już jest chrustu  
z pół fury,  
już ognisko  
się pali, —  
a dym wzlata  
do góry  
i rozplywa się  
w dali!...

— Oj, dopieroż  
to będzie  
radość w polu  
nad rzeką,  
gdy się  
smaczne ziemniaki  
w popielisku  
upieką.

E. Kłoniecki.



# Listy ptaków

Na dębie staruszkę zwołały ptaki sejm. Przewodniczył dzięcioł — stary wyga. Zgiełku było, pisku, świergotu co niemiara. Musiał dzięcioł groźnie w pień kołatać, żeby trochę zebranych uciszyć. Rada w radę postanowiono na tym posiedzeniu do dzieci udać się o pomoc i opiekę. Protokół posiedzenia spisano na korze brzoźowej i wszystkie ptaki się pod nim pięknie pazurkami podpisały, a oprócz tego każdy z nich napisał list. Na dębowym liściu pisze tak sikorka:

— Kochane ludzkie dzieci! Nie polecę w obce kraje, jak to robi, nie wytykając pazurkiem, pan słowik, mój sąsiad, zostaną tutaj na zimę... Ale zimą chłodno i głodno, owady wślazą głęboko pod korę, ani się do nich dostać, więc bardzo Was proszę, przypomnijcie sobie o mnie i kiedy zimą przyfrunę pod Wasze okna, to mnie poczęstujcie kawałeczkami mięsa albo słoninki, bo ja to bardzo lubię. Kłaniam się pięknie.

Sikorka.

Na lipowym liściu wykuł dziobkiem list kowalik. Trudno go przeczytać:

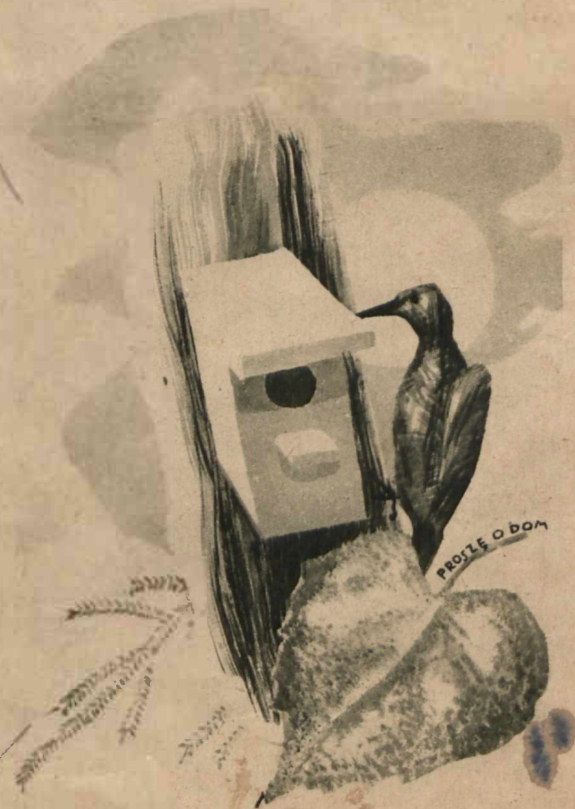
— Stukam do serc chłopców, którzy tu lasem chodzili i przyglądali się mojej robocie i pięknie proszę, żeby mi zbudowali domek. Jestem malutką i nie taki silny, jak mój cioteczny brat, dzięcioł, nie umiem sobie tak, jak on, dziupli wykuć w spróchniałym drzewie, zimą nie mam się gdzie schronić przed mrozem, a latem gniazda nie mogę założyć, bo w naszym lesie wielki głód mieszkaniowy — przyszli źli ludzie z toporami i wyrabali najlepsze spróchniałe drzewa, w których było dużo dziupli. Więc zróbcie mi malutki domek i zawieście na drzewie. Jeżeli otwór zrobicie za duży, to go sobie sam zalepię, bo jestem sławnym na cały las murarzem. Sprowadzę się zaraz do tego domku, bo wiecie przecież, że się Was nie boję. Za Waszą przysługę będę

Wam oczyszczał las i ogród z owadów i pokazywał moją sztuczkę, którą tak lubicie; będę spacerował po drzewach głową na dół, a ogonem do góry.

Kowalik.

Oj! a to co za kłujący list! A! to na liściu jeżyny wykuł parę słów kolcem z ostu szczygielek:

Kochane dzieci! Nie jestem ja taki wybredny, jak ta narwana sikora, co się Wam każe słoninką częstować!... Mnie wystarczy, jak mi posypiecie na deseczkę trochę ziarna. Teraz w polu mam pożywienia moc, ale zimą byłbym Wam taki wdzięczny, gdybyście teraz na jesieni zebrały dla mnie trochę nasion: dyni, ogórków, słoneczników, pestek z jabłek







i gruszek, nasion ostu i różnych chwastów.  
Jakby to wszystko zimą smakowało!

Polecam się Waszej pamięci.

Szczygieł.

A tutaj na listku bżowym nagryzmolił wróbel:

— Moja kochana Luciu i drogi Andrzeju!

Ćwir! ćwir! Wszyscy piszą, więc i ja także, bo nie chcę być gorszy od innych, ale mógłbym Wam to wyćwierkać osobiście, bo mieszkam przecież w krzaku bzu pod Waszym oknem! Zimą tak zrobię, kiedy będę głodny: usiądę za Waszą szybą i będę wołał: — ćwir! ćwir! ćwir! Wróbelek chce jeść! Ćwir! ćwir! ćwir! — dopóki mi Lucia nie posypie jakich okruszynek. Ja wszystko jem i nigdy nie grymaszę.

Wasz najlepszy przyjaciel

Wróbel.

A tutaj kalinowy liścik od jaskółki. Napisała go własnym piórkim, wyskubanym ze skrzydła:

Dobra, kochana Anulko!

Już mi zimno, już mi pazurki grabieją, że ledwo mogę pióro utrzymać. Już siostry zbierają się w drogę. Piszę, żeby Ci podziękować za Twoją dobroć. Nigdy nie zapomnę, jak ratowałaś moje pisklą, które wypadło z gniazdka i odganiałaś złego Mruczka. Teraz

muszę Cię z serdecznym żalem pożegnać, ale spokojnie opuszczam moje gniazdko, bo wiem, że nad Twoim okienkiem żaden niedobry człowiek mi go nie zniszczy. A wiosną zawitam do Ciebie najpierwsza zza morza.

Twoja wdzięczna, kochająca

Jaskółka.

A na listeczku tarniny napisał malutki mysikrólik:

— Pamiętajcie o mnie, dzieci, zimą. Malusieńki jestem, jak puszek dmuchawca, dużo jeść nie potrzebuję, ale muszę dotrzeć do grudnia, bo kto by Pana Jezusa w stajence przywitał? Wiecie, że to do mnie należy.

Mysikrólik.

Wojtek-bocian urwał liść nenufaru i taki list napisał:

Kochany Andrzeju!

Jutro lecę za morze z moimi braćmi, ale w kwietniu wrócę na Waszą stodołę, tylko proszę Cię bardzo, podłóżcie mi nową bronę, bo ta się już zupełnie rozlatuje i gniazdo się na niej już utrzymać nie może. A także proszę, niech Twój ojciec nie osusza błot na łące — wszystkie żabki się wyprowadzą. Jeżeli wysłuchasz moich prośb, to będę Wam z wdzięczności klekotał co wieczór, aż się po całym obejściu będzie rozlegało.

Twój wierny

Wojtuś.



M. K. (Piomyk)



# W PAŹDZIERNIKU

Blade słonko zwolna chodzi  
Po szarawym niebie.  
Rankiem mgła swój płaszcz rozwija  
Po zoranej glebie.

Tam w stodołach cepy biją —  
Ziarno w górę leci.  
O, już ziarnka wróbel dziobie —  
Nie straszcie go, dzieci!

A kobiety włókna lniane  
I międlą i czeszą,  
A do szkoły wiejską drogą  
Pilnie dzieci spieszą.

To październik. Hen, na płotach  
Biała nić się snuje...  
Jesień ciszę swą roztacza,  
W ciszy wieś pracuje.

M. Sz.

## GUDNY SEN

(Ciąg dalszy)

Biedny Presto obudził się sam, na łodzi, bez pana. Stał chwilę nieruchomo, wpatrzony przed siebie, a przekonawszy się, że jego pan leży tam na wydmie, pobiegł pędem w tamtą stronę. Dobiegłszy na miejsce, nie wiedział, co ma robić z radości. Machał ogonkiem, skakał, szczekał, skomlał, obwąchiwał go, lizał, dotykał zimnym noskiem twarzy.

— Do budy, Presto, do budy! — wyszeptał Janek na wpół we śnie. Majaczyło mu się coś jeszcze o elfach i blasku księżycy na wydmach i chciałby te obrazy jak najdłużej zatrzymać.

Ale co było snem, a co prawdą? Gdzie jest Powoik i gdzie królik? Żadnego z nich nie ma. Tylko Presto

stoi przy nim, macha ogonem i patrzy mu wyczekująco w oczy. Tuż obok niego była wprawdzie królicza nora, ale przecież jest ich całe mnóstwo na wydmie. Podniósł się i rozejrzał uważnie dokoła. Ale cóż to takiego trzyma w zaciśniętym ręku? Wszak to kluczyk, mały błyszczący kluczyk, który otrzymał w darze od króla elfów. Długą chwilę siedział pogrążony w milczeniu.

— Więc to jednakże jest prawda, mój piesku? — Rozważał Janek.

Lecz Presto zaczął szczekać, chcąc tym sposobem dać do zrozumienia, że jest głodny.

\* \* \*

Ułynęło kilka długich dni i nic nowego nie zaszło w życiu Janka.



Siedział teraz w swoim pokoju nad książkami. I gonił myślami wspomnienia z wycieczki z Powoikiem.

Wtem w kąciaku coś zachrobotać. Janek spojrzał w tę stronę. Spod podłogi wysunęła się mała myszka z czarnymi, jak paciorki oczkami i jedwabistymi uszkami, poczęła się skradać zwinnie po ścianach i jednym susem skoczyła na ławkę, a potem na pulpit, przy którym Janek pisał.

— A to dopiero śmiała myszka — powiedział do siebie.

— Przecież ciebie się bać nie potrzebuję, Janku — odezwał się cienki głosik i myszka, jakby w uśmiechu pokazała ząbki.

Mimo, że Janek był już świadkiem tylu niezwykłych rzeczy, jednakże teraz zdziwił się bardzo.

— Powoik mnie tu do ciebie przysła — powiedziała myszka. — I pyta, co słyszeć u ciebie.

— Ach, dziękuję, wszystko po staremu. Myślę wciąż o Powoiku i kłopotę się o kluczyk. Proszę cię, myszko, zapytaj Powoika, co mam zrobić z kluczykiem. W sobotę zmieniam zawsze bieliznę i boję się, że go może ktoś zobaczyć. Nie wiem, gdzie by go można bezpiecznie ukryć.

— Radzę, ukryj go w ziemi! Ziemia to najbezpieczniejsza skrytka. Jeżeli chcesz, mogę ci go schować, ale najlepiej zakop go na wydmie. Mieszka tam moja stryjenka, mysz polna. Dam jej znać i poproszę, aby się tą sprawą zajęła.

— Bardzo ci dziękuję, myszko.

Wszedł nauczyciel. Janek umoczył pióro w atramencie. A tymczasem myszka zniknęła...

W dwa dni potem, o zmierzchu

siedział Janek przy oknie w swojej izdebce i z utęsknieniem patrzył w stronę dalekich wydm.

— Powoiku, Powoiku, — szeptał dopomóż mi i doradź, co mam zrobić z kluczykiem?

W tej chwili posłyszał cichy szelest skrzydeł. Gdy podniósł oczy zobaczył na parapecie okna, kołyszącego się na łądyżce konwalii, Powoika.

— Jak to dobrze, że przyszedłeś, Powoiku! Tak się bardzo stęskniłem za tobą — rzekł Janek.

— Chodźmy, Janku, zakopimy kluczyk.

Powoik wziął Janka za rękę. Unieśli się lekko w powietrze. Polecieli. Za chwilę byli już nad stawem. Dwa białe motyle podfrunęły do nich.

— Dokąd dążycie, elfy? — zapytały.

— Do róży na wydmie, tej, która kwitnie tam na pochyłości.

— To polecimy razem, jeśli pozwolicie.

Różę już było widać. Obsypana była blado różowym, jedwabistym kwieciem. Rosła tu dzika, samotna, napełniając powietrze cudnym zapachem. Płatkami jej żywiły się okoliczne elfy, motylki krążyły dokoła ślicznych kwiatów i całowały je po kolei.

— Przybyliśmy tutaj, aby ci skarb powierzyć, różo. Czy chciałabyś go pilnować?

— Dlaczegożby nie? — szepnęła róża. — Nie nudzę się tutaj i nie odejdę stąd, o ile mnie nikt nie zabierze... A ciernie mam ostre.

W samą porę zjawiła się myszka polna, stryjenka tamtej myszki z izdebki Janka i wykopała dołek między korzeniami róży. Tam schowano kluczyk.

— Gdybyś potrzebował kiedyś klu-



czyka, to nie rób krzywdy róży. Przywołaj mnie, a przybiegnę i odkopię go — rzekła myszka.

Róża zaplotła ostre ciernie nad miejscem, w którym ukryto kluczyk i przyrzekła raz jeszcze, że powierzonego jej skarbu nie odda nikomu. Motyle były świadkami.

Trzy tygodnie upłynęły od pamiętnego dnia odwiedzin Powoika. Janek nie wiedział, co przyjaciel jego przez ten czas porabiał. Kluczyka także nie miał. Chwilami zdawało mu się, że ani Powoika, ani kluczyka nigdy nie było naprawdę, że tylko śnił o nich i wtedy było mu bardzo smutno.

Pewnego ranka otworzył okno i zamyslił się.

Wtem stadko śnieżno-białych gołębi trzepocąc skrzydłami siadło na

rynnie pod oknem. Zbliżyły się i z głośnym gruchaniem stąpały po blaszanym dachu. Jeden z gołębi miał czerwone piórko w skrzydełku, które skubał dopóty, aż je wyrwał i z piórkim tym w dzióbku zbliżył się do Janka. Kiedy Janek wziął je do ręki, uczuł, że jest dziwnie lekki. Wysunął ręce za okno, gołębie się zerwały i Janek znalazł się wśród nich w powietrzu. Dokoła widział tylko czysty błękit nieba i jasny blask białych skrzydeł. Lecieli właśnie ponad ogrodem. Spojrzał w dół i zobaczył ojca, siedzącego przy otwartym oknie gościnnego pokoju. Przy nim leżał kot i wygrzewał się w słońcu.

— Czy też oni widzą mnie? — pomyślał, ale bał się zawołać.

Presto szukał swojego małego pana





po całym ogrodzie. Obwąchiwał łąweczkę, na której Janek siadywał, wspinał się do okna.

— Presto, Presto! — zawołał Janek.

Pies spojrzał w górę i zaszczekał radośnie.

— Zaraz wrócę, piesku! — krzyknął jeszcze Janek i poleciał dalej.

Lipy kwitły, powietrze było przepełnione ich zapachem. Lecieli ponad lasem i płoszyli wrony, które z głośnym krakaniem opuszczały gniazda.

Gołębie wraz z Jankiem okrążyły wysoki dąb i usadowiły się na jego gałęziach. Na samym wierzchołku dębu, w opuszczonym gniazdku wilgi siedział Powoik.

— Dobrze, że jesteś, Janku, tak dawno już posłałem po ciebie. Czemu tak długo lecieliście? Chcę, abyś mi towarzyszył, Janku.

— Bardzo chętnie — odparł Janek i usiadł na krawędzi gniazda.

— No, gołąbki, lećcie w swoją stronę — i Powoik skinął im główką na pożegnanie. — Czy chciałbyś zostać ze mną, Janku? Będziemy chodzili wszędzie razem, zwiedzimy dno stawu, pójdziemy do pałacu elfów i do mieszkań krasnoludków. Będziemy się unosili nad lasami i polami, nad obcymi krajami i morzami. Każę ci utkać szatkę z pajęczyny i dam ci skrzydła takie, jakie sam posiadam. Będziemy się żywili wonią kwiatów i tańczyli z elfami w blasku księżyca. Będę ci opowiadał cudne bajki, kiedy tylko zechcesz. No cóż, Janku?

Janek w odpowiedzi uściśnął serdecznie Powoika.

(Zakończenie nastąpi)

## FIGLARZ

Janek Sroka był przede wszystkim matematykiem. Wszystkie szkolne zadania rachunkowe wyliczał szybko, posługując się więcej pamięcią niż ołówkiem. Często też zdarzało się, że Janek w czasie przerw objaśniał innym różne trudności rachunkowe. Trzeba było jednak dobrze uważać, gdy Sroka coś tłumaczył, bo czasem wywodził swoich słuchaczy w pole.

Raz na przykład dał swoim przygodnym uczniom takie oto zagadnienie do rozwiązania, ile jest trzy mniej jeden?

— Jest dwa! — krzyknęli wszyscy równocześnie.

Sroka napisał na tablicy:  $3 - 1 = 2$ .

— A teraz uważajcie dobrze. Na suchej gruszy, stojącej obok leśnictwa, siedziały trzy jastrzębie i czekały stosownej chwili, by porwać jakieś kurczę, kaczuszkę, czy też indyczkę. Zauważył je leśniczy. Naładował strzelbę, wymierzył, strzelił i zastrzelił jednego jastrzębia. Ile jastrzębi zostało na gruszy?

— Dwa! — odpowiedziało kilkoro dzieci.

Sroka uśmiechnął się. Nastąpiła chwila milczenia. Zdolniejsze dzieci też zaczęły się uśmiechać. Wreszcie jeden chłopiec powiedział śmiało:

— Nic nie zostało.

Dzieci spojrzały na niego niedowierzająco.

— Bo tamte dwa uciekły — uzupełnił.

— Achaaa! — śmiała się gromada.

A Sroka zapytuje poważnym głosem:

— Więc ile jest: trzy mniej jeden?

— ... zero! — wrzasnęli słuchacze.

Innym razem Janek zapytuje się w ten sposób:

— Ile jest połowa od dwunastu?

— Sześć! — padła jednogłośnie odpowiedź.

— Nieprawda! — zaprzeczył Janek. —

Przypatrzcie się...

Napisał na tablicy rzymską dwunastkę: XII.

— Co to jest? — zapytał.

— Dwanaście! — odpowiedziały dzieci.



— A połowa z dwunastu? — pytał dalej i przekreślił dwunastkę poziomą kreską przez pół. Powstała przepołowiona rzymska dwunastka, Janek napisał ją na tablicy i starł dolną połowę dwunastki. Pozostało: VII.

Więc ile jest połowa z dwunastu? — zapytał znów Sroka z wielką powagą.

Pokiwały dzieci głowami, ale powiedziały ze śmiechem:

— Siedem...

Tak, tak, Janek Sroka to był figlarz.

Pewnego razu wbił dzieciom do głowy takiego ćwieka, że przez cały tydzień liczyły wieczorami, aż do bólu głowy, a przy tym egzaminowały się wzajemnie, i starsze rodzeństwo pozaszkolne i rodziców zaprzęgały do liczenia. A było to tak.

— Uważajcie dobrze — powiedział raz Sroka. — Napiszemy sobie taką dużą liczbę z milionami. Liczcie od jednego do dziewięciu pomijając ósemkę.

Dzieci wypowiedziały chórem: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, dziewięć... A Sroka pisał na tablicy to samo, co dzieci mówiły: 12345679.

Starsze dzieci przeczytały nawet tę dużą liczbę.

— Pomnożymy ją przez dziewięć — zapowiedział Sroka. Dopisał pod spodem  $\times 9$  i podkreślił. — Teraz będziemy mnożyć wszyscy głośno.

A dzieci posłusznie mnożyły pod przewodnictwem Janka:  $9 \times 9 = 81$ ; piszemy 1, a 8 w pamięci;  $9 \times 7 = 63$ , więcej 8 jest 71, piszemy 1, a 7 w pamięci;  $9 \times 6 = 54$  więcej 7 jest 61, piszemy 1, a 6 w pamięci;  $9 \times 5 = 45$  więcej 6 jest 51, piszemy 1, a 5 w pamięci;

$9 \times 4 = 36$  więcej 5 jest 41, piszemy 1, a 4 w pamięci...

Dzieci zaczęły się śmiać, bo jakże się tu nie śmiać i nie dziwić, gdy z zadania wychodzą same jedyńki... I rzeczywiście aż do końca same jedyńki.

Starsi chłopcy zarzucili Srokę pytaniami.

— A same dwójki umiesz wyprowadzić?

— Tak. To bardzo łatwo. Biorę tę samą dużą liczbę i mnożę ją przez 18. Otrzymam same dwójki.

— A trójki?

— A czwórki? — dopominali się o dalsze cyfry.

— Trójki otrzymacie, jak pomnożycie przez 27, a czwórki, jak pomnożycie przez 36.

— Dalej! Piątki, szóstki, siódemki... — dopominali się.

— Czekać! — powiedział Sroka, uciszając dzieci. — Jeżeli chcecie te liczby zapamiętać, to musimy je jakoś uporządkować. Najpierw ta duża liczba, mnożna... Ta zostaje zawsze ta sama: od jeden do dziewięć bez ósemki. To już zapamiętacie?

— Zapamiętamy!

— A teraz dziewięć różnych mnożników. Chodzi o to, by je umieć wyszukać. Powiedzcie wszyscy tabliczkę mnożenia na dziewięć.

Dzieci wypowiedziały: 9, 18, 27, 36, 45, 54, 63, 72, 81, 90.

— Jeżeli pomnożycie naszą mnożną przez 9 — otrzymacie same jedyńki, przez 18 — same dwójki, przez 27 — trójki, przez 36 — czwórki, przez 45 — piątki itd. Rozumiecie?

— Rozumiemy! Rozumiemy...

O! nasz Janek Sroka to figlarz-filozof!

Jerzy Jędrosek

## R • E • B • U • S • Y





# NA DRODZE

Od miasteczka do miasteczka  
w podłuż drogi płynie rzeczka.  
Ku tej drodze poprzez most  
wóz dwukonny jedzie wprost.

Przy nim konie nie od pary:  
jeden siwy, drugi kary,  
jeden młody, drugi stary.  
Już na drodze. Jadą drogą  
tup, tup, tup —  
noga za nogą.

— Wio, maluśkie, wio!

Jedzie wozem stary Michał,  
jedzie sobie, mruczy z cicha.  
Jedzie, mruczy: — Boże, Boże...  
aż i zdrzemnął się na wozie.

— Wio, maluśkie, wio!

Drzemie. Nie wie, co za czary,  
że koń siwy, że koń kary,  
że koń młody, że koń stary  
rozmawiają ludzką mową  
jeden słowo, drugi słowo.

— Cóż tak w koło patrzysz, Siwy?

— Ano, patrzę, co za dziwy?  
Tu, gdzie dawniej bagno było,  
zboże rośnie, że aż miło.

— Jakie zboże? Co ty powiesz?

— Ano prawda: żyto, owies.  
A wzdłuż rzeki ze trzy mile  
łąki tyle, siana tyle,  
ho, ho!

— Pięć lat temu, Siwku drogi  
tu nie było takiej drogi.  
W błocie grzęzło się po prostu  
i do mostu, i od mostu.

— Br, brr, Kary! Dziwię się,  
że się ludziom pracy chce.  
Toż to wielki trud dla chłopca  
drogę kłaść i rowy kopać —  
może nie?

— Oj, gdy zbiorą się w gromadę,  
każdej pracy dadzą radę.  
gdy maszynę puszczą w ruch —  
za stu robi, nie za dwóch.

— Czy pamiętasz? U Michała  
jak żniwiarka pracowała?  
A młockarnia, a nasz kierat?  
Kiedyś było, nie jak teraz,  
inaczej, ho, ho!

— Gdy dziś pole przeoramy,  
ile z niego ziarna mamy?  
Sztuczny nawóz, gospodarka,  
więcej ziarna, lepsze ziarnka.

— Wio, mój Kary, wio!

— Brr, brr! Różnie jest u ludzi...

— Cicho! Michał się obudzi!

Już się zbudził. Spojrzał w koło  
i uśmiechnął się wesoło.

— Wio, maluśkie, wio!!!



# Historia kropli nafty

Był późny jesienny wieczór. Jacek przepędziwszy popołudnie na zabawie dopiero teraz zabrał się do odrabiania lekcji. Zapadł zmrok. Matka postawiła przed nim zapaloną lampę naftową. Ale praca jakoś mu nie szła. Za oknami szumiał monotonnie deszcz, w saganu na kuchni syczała sennie woda. Zwolna oczy przysłoniła mu fiołkowa mgła i tylko czarna plama nafty, lśniła na podstawie lampy, mieniła się czarodziejskim, różnokolorowym blaskiem. Nagle plama zaczęła nabierać jakichś zielonawych barw, rozlewać się, rosnać, aż wystrzeliła w górę i przed zdumionymi oczyma Jacka wykwitła, wysoka niczym drzewo, paproć z wachlarzowatą koroną soczysto zielonych liści-gałęzi.

Jacek przypatrywał jej się z nieukrywanym zdziwieniem. Gałązki chwiały się ku niemu, poruszane podmuchem jakiegoś niewyczuwalnego wiewu i z pośród liści doleciał uszu chłopca zduszony szept:

— Późno Jacusiu, zbliża się godzina czarów i baśni. Posłuchaj, opowiem ci moją historię, historię kropli nafty.

Urwała...

— Jaka olbrzymia paproć, jaka piękna! — myślał Jacek. — A może zakwitnie cudnym kwiatem paproci, a ja go zerwę i zdobędę mądrość.

Lecz znów doleciał do uszu jego cichy szept.

— Słuchaj Jacku! Słuchaj! Oto miliony lat temu, niezmiernie dawno, w czasach zamierzchłych, ziemię pokrywały podobne do mnie ogromne rośliny. Paprocie i sygillaria tak wielkie, że przewyższały dzisiejsze najwyższe sosny. Wśród nas uwijały się wielkie zwierzęta, jaszczury i smoki. Nie było jeszcze wtedy ssaków i ptaków, nie było człowieka na ziemi.

— Mieszkałyśmy na bagnach. Cieszyłyśmy się słońcem, wilgocią ziemi, podmuchem ciepłych wiatrów, rześzystymi deszczami. Radowaliśmy się życiem. Lecz z czasem przyszły dla nas dnie smutne.

— Zaczęłyśmy się starzeć, ciała nasze zniszczyły choroby, a wreszcie nastąpił dzień, kiedy zapadłyśmy się w bagno. W jego ciemnej,





gorącej, wilgotnej pomroce leżałyśmy wieki całe wśród szczątków innych roślin i zwierząt. Nad nami szumiały morza, lub pleniły się nowe puszcze. Zaczęłyśmy się rozkładać, gnić, aż zbutwiałyśmy zupełnie.

— W miliony lat później nastąpiły straszliwe wybuchy i wstrząsy skorupy ziemskiej, a nas przykryły całe góry warstwic. I znów przetrwałyśmy tak długie wieki.

— Aż pewnego dnia doleciał do uszu naszych głuchy odgłos dudnienia. Przeraziłyśmy się bardzo, sądząc, że to nowe wstrząsy ziemi, które pochłoną nas jeszcze głębiej. Ale oto jakiejś godziny z hukiem i łomotem wpadł w nasze podziemne jezioro ogromny, żelazny łom.

— Jestem świder, z wieży wiertniczej! — przedstawił się wśród zgrzytów i jęków rozrywanych czeluści ziemi. — Przybyłem i pragnę was wyzwolić ku światłu i słońcu! Dalej! Spieszcie się!

— I rzeczywiście naparły na nas wiszące nad nami gazy i wyleciałyśmy jak szalone w górę. Pędziłyśmy tak z ogromną szybkością przez lśniące rury, aż wyrznęłyśmy całą swą siłą w jakąś skomplikowaną aparaturę, a później, dziw, ujrzałyśmy słońce... Powiedziałam ci radość nasza nie miała granic.

— Ja właśnie wytrysnęłam wysoko ponad powierzchnię i ku wielkiemu zdumieniu, zobaczyłam ogromną, o sześcienną głowicę wieżę, wokoło której kręcili się ludzie.

— Kiedy spadałam na ziemię, otoczył mnie mrok, tylko dalekie przymglone światelka elektrycznych żarówek błyskały wysoko pod stropem.

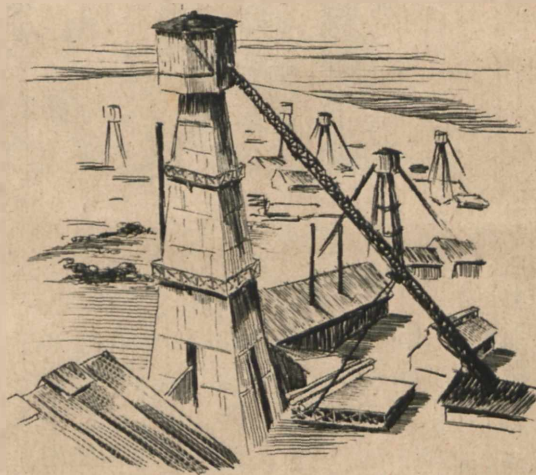
— Jak się pani czuje, pani ropo? — spytała mnie grzecznie leżąca tuż obok lina żelazna. — Zapewne jest pani u nas po raz pierwszy — ciągnęła dalej — o, proszę się porozglądać trochę, a ja opowiem, w jaki sposób się pani tu do nas dostała. Przypuszczam bowiem, że pamięta pani jedynie swą szaloną podróż.

— Heej! Hoop! Heej! Hoop! Heej! Hoop! — dolatywał gdzieś z góry okrzyk robotników.

— Jak pani widzi — mówiła lina — zakładają oni właśnie świdry, za pomocą których potem dostają się do wnętrza ziemi. O! Proszę spojrzeć, tu obok wypoczywa jeden z nich.

— Bardzo mi miło poznać panią — huknął wesoło grubym głosem leżący na deskach, obły, podobny do cygara, żelazny kształt. — To ja właśnie wywołałam panią, pani ropo, na powierzchnię.

— A czy wolno wiedzieć — zapytałam — w jaki sposób dostał się pan do wnętrza ziemi?



— Pani będzie uprzejmą popatrzeć w górę. O, widzi pani tam szereg wyżłobionych kółek zawieszonych u stropu wieży, z przechodzącymi przez nie linami. One to właśnie unoszą mnie i przy pomocy specjalnych maszyn opuszczają. Ja zaś spadając rozbijam własnym ciężarem pokłady ziemi, by dostać się w głębie, gdzie znajdują się roponośne żyły. Więc najpierw przeorałam się przez warstwę gliny, potem przeorałam wapienie, następnie rozmaździłam pokrywę piasku, by wreszcie po rozbiciu twardej skały osadowej dostać się tam, gdzie miałyście swe roponośne jezioro. A trudna i mozolna była to praca! — wzdychał jeszcze świder i ocierał zroszone potem czoło. — No, ale będziemy musieli panią pożegnać, bowiem pojedzie pani teraz do rafinerii.

Wkrótce potem byłam na miejscu.

— Rafineria, Jacku, jest to ogromna, wyposażona w najrozmaitsze kotły i piece fabryka. Tutaj poddano mnie zaraz oczyszczeniu, czyli tzw. procesowi destylacji, tak, że w końcu po wielu tarapatkach stałam się czystą oświetleniową naftą.

— Oto takie w skrócie są moje dzieje. Niedługo byłam sławną, używano mnie do oświetlania, dziś zastąpiła mnie elektryczność. Muszę ci jeszcze powiedzieć, w których krajach najczęściej nas dobywają, bowiem znajdujemy się w wielu miejscach, a mianowicie: w Stanach Zjednoczonych, w Rosji, nad Morzem Kaspijskim, w Wenezueli, w Meksyku, w Persji i w Karpatach. Muszę jeszcze dodać, że w dawnych czasach służyłam głównie jako środek leczniczy.

Nagle paproć poczęła kurczyć się, maleć, gasnąć, blednąć a na stole załśniła czarnozielonym, mieniącym się blaskiem owalna plama nafty.

Jerzy Eglicz.



# ROMEK

Romek stał się okropnie zarozumiałą. Chodzi nadęty, jak paw i ma najbardziej w świecie nieprzystępną minę. I to od czasu sprowadzenia się na Stare Miasto. A do dzieci, szczególnie tych z Rynku, odnosi się z niebywałą wyższością. Uważa się za coś „lepszego“ i chce to wszystkim pokazać.

— Co za brudasy! — myśli. — Porządnie ubrany człowiek nie może się wprost z nimi bawić!

Tym „porządnie ubranym człowiekiem“ ma być właśnie on. Trzeba przyznać, że jego schludne ubranko, czysta koszula, wysokie skarpetki i ładne trepki robią miłe wrażenie. Ale tylko na chwilę. Bo wystarczy spojrzeć na twarz chłopca, aby odczuć coś zupełnie innego. Romek ma czoło zmarszczone, oczy ponure, dolną wargę przyciętą zębami, a twarz bez radości i uśmiechu. Prawdę mówiąc wcale nie jest taki zły, na jakiego wygląda, nauczył się tylko robić ponure miny i patrzeć na innych z wyższością. Lecz tego nikt nie lubi, ani starsi, ani dzieci, więc Romkowi trudno znaleźć kolegów, a mamusia i babcia często powtarzają:

— Nie bądź taki nieprzystępny! Uśmiechaj się, synku, bądź miły i wesoły.

Mówi mamusia, mówi babcia, a słowa padają, jak groch o ścianę.

— Co jemu się stało? Odkąd sprowadziliśmy się na Stare Miasto zmie-

nił się do niepoznania — martwią się obie.

Nie wiedzą, że Romek właśnie z tej nieszczęsnej przeprowadzki jest tak bardzo niezadowolony. Wcale mu się tutaj nie podoba, bo niby coś ciekawego jest w tych ciasnych uliczkach i wąskich, starych domach o brudnych i ciemnych korytarzach?! Sto razy, tysiąc razy wołał tamto mieszkanie. Jeszcze się nie przyzwyczaił, tęskni i dlatego się dąsa. Wprawdzie dzieci interesują go, ale nie chce dać tego poznać po sobie.

Mamusia każe mu iść na Rynek. Na rynku świeci słońce, jest rojno i gwarno. Ile dzieci, psów, rowerów! Ile pisku, krzyku, śmiechu. Lecą piłki, lecą słowa, pełno wrzawy i życia.

Stanął Romek na brzeжку chodnika i patrzy. „Też mi dziwy — myśli. — Wprawdzie plac rynkowy duży, ale nawet pobiegać nie można, bo tylu ludzi. Zresztą sam siebie nie będę gonił... No, chłopców, takich jak ja, sporo tu jest, lecz są brudni i niemili. Pewno zniszczyliby mi garniturek“.

Ledwo to pomyślał, rozległ się w pobliżu przeraźliwy gwizd. Równocześnie jakiś chłopak potrącił go w ramię i stanąwszy obok, zaczął mu się ironicznie przypatrywać.

Romek otrząsnął rękaw i zrobił jedną z swych najgorszych min. Tamten roześmiał się.



— Ha, ha, haaa... Elegancik jestem, co?

Romek milczał, wydał tylko usta na znak najwyższej pogardy. Chłopak śmiał się nadal. Był wyższy, miał wesołą twarz, podniszczone ubranie i bose nogi. Gwizdnął znowu, tym razem trzykrotnie. Wkrótce zjawili się obok niego chłopcy więksi i mniejsi, o takim mniej więcej wyglądzie jak on.

— Co nowego, wodzu? — zapytał jeden z nich.

Józek, on bowiem był wodzem rynkowej gromady, rzekł niedbale:

— Otoczcie tego... lalusia... elegancika...

— Laluś... Elegancik... — zaśmiali się chłopcy.

Romek zaczerwienił się. Zrobił gwałtowny ruch. Chętnie uciekłby do domu, lecz ambicja nie pozwoliła mu tego uczynić. „Poczekajcie — pomyślał — dam sobie z wami radę, wy łobuziaki“.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął. — Czego chcecie ode mnie?

— Poczekaj, bratku... Zaraz się dowiesz... Najpierw powiedz, jak się nazywasz?... Ooo! robisz obrażoną minę, nie chcesz? Więc powiedz ty, Wojtek.

— To jest Romek z Krzywego Koła. Wprowadził się cztery dni temu — krzyknął jeden z chłopców.

Romek ukrywając zdziwienie, spytał:

— Czy to już wszystko? Jeśli tak, odejdę. Wasze towarzystwo nie odpowiada mi... nie podobacie mi się...

Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Gdy uspokoili się trochę, wódz przemówił:

— Jeśli chcesz bawić się na Rynku, musisz wkupić się do naszej gromady. Musisz zrobić coś niezwykłego. Nie może to jednak być ani chodzenie na rękach, ani złapanie gołębia, ani też bohaterskie wytrzymanie prysznicą z beczkowitzu. Jeśli uczynisz coś, co się nam spodoba, przyjmujemy cię do nas...

— ...i będziesz bawić się z nami w walkę narodów...





— ...i w berka...

— ...i w pukanego... i w piłkę nożną — zachęcali chłopcy.

— A jeśli nie zechcesz... — dokończył Józek — zemsta nasza będzie cię ścigać. A zwać cię będziemy... Mamin Synek.

Romek, który zaczął z zainteresowaniem słuchać, na ostatnie słowa poderwał się jak ukłuty. „Nigdy nie przyłączę się do was — przemknęło mu przez głowę — przecież z miejsca nazwaliście mnie lalusem i elegancikiem“.

— Rozstąpcie się! — krzyknął. — Nie chcę do was należeć! Nigdy nie będę się z wami bawił! Nie cierpię ani was, ani Starego Rynku.

Chłopcy, nie spodziewając się takiej odpowiedzi, puścili go w milczeniu. Dopiero po chwili ktoś zawołał:

— Zobaczymy... Jeszcze zobaczymy!

Tego wieczora Romek nie mógł usnąć. Musiał myśleć o popołudniowym zdarzeniu! „Gdyby nie to — rozważał — że mnie z miejsca przewalili i że są przez to wstrętnei, możebym ich polubił. Hm... a jakbym się wkupił? Nie, nie będę o tym myślał. Może by wejść na najwyższy dach... Albo... objechać Rynek z nogami na kierownicy? Nie... To napewno umięją. Albooo... przebiorę się za Indianina i odtańczę taniec wojenny!...“

Ta ostatnia myśl tak mu się spodobała, że wyskoczył z łóżka i wyciągnął z pudła barwne pióra, tomahawk, łuk i strzały. I gdy już, już opasać miał jaskrawym pasem koszulę, uświadomił sobie nagle, że przecież postanowił nigdy nie przyłączać się do nich. „Ach, szkoda, wielka szkoda!“ — westchnął z żalem.

Minęło dni kilka. Romek co dzień chodził na Rynek, a ilekroć się zjawił chłopcy z gromady Józka, niby to przypadkiem znajdowali się koło niego. Nie dokuczali mu bynajmniej. Postanowili tylko zdobyć go, dlatego tak się bawili, aby ich musiał widzieć i słyszeć. Z początku udawał, że ich nie widzi, lecz wkrótce ich gry poczęły go interesować. Poznał też chłopców z imienia i kilkakrotnie miał wielką ochotę zabawić się wspólnie. Nie chciał jednak zrobić pierwszego kroku.

Aż raz stało się.

Dnia tego spadł krótki, obfity deszcz, a kałuże wody i błota pokryły Rynek. Skoro podeszło chłopcy poczęli grać w piłkę, Romek obserwował ich. W pewnej chwili podbiegł w jego stronę wódz, Józek, trzymając piłkę w ręce.

— Uwaga! — krzyknął. — Robię wspaniały wykop!

Wziął rozmach i z całej siły kopnął. Chłopcy pobiegli za piłką, lecz on straciwszy równowagę runął tuż obok Romka.

— Psiakość... Nie mogę wstać — zaklął. — Moja noga...

Romek, spojrzawszy na twarz Józka wykrzywioną bólem, odczuł coś dziwnego. Podskoczył do Józka i chwyciwszy go pod ramiona pomógł mu wstać.

— Oprzyj się na mnie — powiedział.

— Przecież cię zabrudzę... Jestem cały obłocony... — wyszeptał Józek.

— To głupstwo, to głupstwo... Oprzyj się z całej siły.

Tak się zaczęła ich przyjaźń.



# TANIEC ŻÓRAWI

## przed odlotem

Kiedy pan Maciej w niedzielę szedł ze swej leśniczówki, drogą od lasu do wsi na przedwieczorną pogawędkę, radowali się nie tylko starzy, którzy lubili z nim pogawędzić, ale i dzieci również. Gdy tylko usłyszały odgłos jego sękatego kija, którym się podpierał, rzucały zabawę i biegly za nim, aby posłuchać ciekawych opowieści.

Pan Maciej mieszkał sam jeden w lesie i nikogo, ani niczego się nie obawiał. Znał nie tylko każde zwierzę, każdego ptaka, ale każde nieomal drzewko, każdy krzew rosnący w jego leśnej głuszy.

I nie dziw! Tyle lat siedział w tej samej leśniczówce. Wiedział co do dnia, kiedy do swych gniazd, pozostawionych jesienią, zawitają skowronki, jeżyki, sójki i inne ptaki. Leżał nieraz całymi godzinami w gęstym poszyciu leśnym, albo siadywał na pieńku cichutko i podpatrywał tych swoich miłych gości, jak się krzątały „kiej by najradniejsze gospodynie“ przy obrządzaniu i reperowaniu gniazd zniszczonych przez zimowe zamiecie, albo — aż wstyd powiedzieć — przez psotnych chłopców. A jakże pięknie pan Maciej potrafił naśladować głosy ptaków i piski małych zwierzątek, uwijających się po lesie! Dzieciaki aż oglądały się za siebie, myśląc, że zobaczą za sobą śpiewaka, a wtedy pan Maciej śmiał się razem z nimi, że tak się zwiesć dawały.

Najczęściej przychodził do Jędrusiakowej chałupy. W zimie wyciągał nogi przed kominem, żeby się ogrzały, latem siadywali wszyscy przed chatą na ławach. A dzieciarnia cisnęła się, by jak najbliżej być pana Macieja.

— A co pan Maciej dziś przyniósł w torbie? — pytały trochę z lękiem obmacując jego torbę, bo żartował, że te wszystkie stworki, o których opowiada, w torbie nosi.

— Uciekajcie, uciekajcie, bo z torby wylezie zły niedźwiadek, albo wąż — żartował pan Maciej.

— A już! Niedźwiedzie zabierają się do snu w barłogu z suchych liści, już by tam do torby

się pchały, sam pan opowiadał, że śpią przez całą zimę — nie dawały się nastraszyć.

— To stare niedźwiedzie, a z młodymi, z takimi jak wy, nie łatwa sprawa. Wy też nie dajecie zapędzić się do spania, lubicie wyskakiwać z pośłania i barszkwować — prekomarzać się leśniczy.

Przyjemne były te niedzielne popołudnia.

Najciekawszy do tych opowiadań był dwunastoletni, najstarszy syn Jędrusiaków, Wojtuś. Nie kontentował się krótkimi odpowiedziami pana Macieja, zawsze mu było za mało.

— A ty to zaraz byś chciał zobaczyć, a posłuchać, a dowiedzieć się, a co dalej, a co jeszcze... Tere fere, moiściewy, jakie to prześcienne, widzita go...

Niby to podkpiwał z Wojtka, ale w gruncie rzeczy lubił bardzo tego sprytnego i tak bardzo interesującego się jego opowiadaniem chłopca.

— A to wpakuj palec w mrowisko, wścib nos w dziki ul, policz zęby wilkowi... Wiecie, Jędrusiak — zwrócił się pan Maciej do ojca Wojtusia — widzi mi się, że wasz Wojtuś jak nic nadałby się na służbę leśną. Macie jeszcze dwóch urwisów do gospodarki, to tego dajcie mi na leśną praktykę, jak skończy szkołę.

Wojtusiowi oczy zaśmiały się radośnie, sponsował cały, kiedy to usłyszał.

— Może i macie rację, zobaczy się — odpowiedział ojciec.

— Teraz, kiedy ma wakacje, niech przybiega do mnie, do lasu — dorzucił pan Maciej. — A dopiero się napatrzysz — zwrócił się znów do Wojtusia. — Jakie to mądre sztuki te zwierzaki! Mądrzejsze to, sprytniejsze nieraz, jak człowiek. Do szkoły to nie chodzi, a potrafi to samo, co człowiek. Kto by to na przykład spodziewał się, że żórawie tańcować potrafią, jak chłopcy i dziewczyny na weselu.

— Naprawdę, panie Macieju? — zawołał Wojtuś szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. — Eee, pan Maciej pewno tylko podkpiwa sobie z nas. Jakto?

— Ale, ale, podkpiwa! Przecież wam mó-



wię! Zawsze, co roku, we wrześniu, a jak jest ciepłej, to w początkach października udaje mi się podpatrzeć, jak żórawie tańczą, zanim uszykują się do odlotu.

— Mój Boże, jakbym ja to chciał zobaczyć — westchnął Wojtuś.

— Nie wzdychaj jak baba, tylko ci mówię, przylatuj do mnie na leśniczówkę, to może nam się uda razem je zobaczyć.

Ten taniec żórawi nie dawał Wojtusowi spokoju. Zamęczał pana Macieja, aż ten się zniescierplwił.

— Takbyś od razu wszystko chciał wiedzieć, poczekaj...

Kiedy pan Maciej ugoszczony podwieczorkiem żegnał się z gospodarzami, dzieciaki obstały go i dalej odprowadzać go pod las. Po drodze zmniejszała się gromadka, bo słońce chyliło się ku zachodowi i dzieci każde skręcało w swoją stronę, śpiesząc na wieczerzę. Tylko Wojtuś szedł jeszcze dalej, gawędząc z panem Maciejem. Już przed leśniczówką, żegnając się z Wojtusiem pan Maciej powiedział:

— Na przyszłą niedzielę przyjdź do mnie o świtanie, pójdziemy na pstrągi. Widuję je tu, jak przepływają z potoku do stawu w lesie. A może nam się uda chwycić szczupaka, tego rozbójnika, który mi robi szkody w stawie. We dwóch łatwiej będzie go złowić.

W niedzielę Wojtuś zerwał się o świtanie. Po omacku zsunął się cicho z posłania, poszedł pod studnię, umył się, przyglądził czuprynę, z komory zabrał kromkę chleba i kawałek sera i kłusem pobiegł miedzami do lasu.

Pan Maciej siedział już na ganeczku, ćmił fajkę i szykował dwie wędki. Obok stało pudełeczko, w którym kłębiły się glisty naszykowane na przynętę.

— Jesteś? To dobrze. Myślałem, że będę musiał zatrzeć w róg myśliwski, żeby cię zbudzić. Bierz wędki i pójdźmy, bo pstrągi lepiej łapać wczesną porą.

Po drodze pan Maciej dawał Wojtusowi wskazówki, jak się ma zachować.

— Nie wołaj, nie gadaj, bo ryby płoszy najmniejszy ruch, a szczególnie głos. Wędkę zarzucaj szerokim ruchem, daleko na wodę, z nurtem. Mówię ci to wszystko, bo ty będziesz na jednym brzegu, a ja na drugim i gdy będziesz mi potrzebny, gwizdnę cicho jak kos.

Szli, wolno się posuwając, żeby nie straszyc mieszkańców lasu.

Wiewiórki podbiegały do leśnika, ale on nie zatrzymywał się przy nich. Las pachniał cudną, żywiczną wonią. Rosa perliła się na każdym źdźbélku trawy, stroiła listki w lśniące perełki...

Wojtuś szedł na palcach i nie śmiał głośno odetchnąć, tak był wzruszony. Stanęli wreszcie nad potokiem. Usadowili się po obu brzegach naprzeciw siebie, jak to było umówione. Wojtuś mocno wparł się nogami w brzeg, przyjrzał się jeszcze, jak pan Maciej zarzuca wędkę. Spróbował kilka razy, wreszcie udało mu się zarzucić tak, jak uczył go leśniczy. Nie minęło i pacierza, gdy wędka drgnęła mu w ręku. Serce zabiło mu mocno. Wolniutko przesunął ją ku brzegowi, przytrzymał mocno i za chwilę złożył dużego pstrąga na trawie. Miał zamiar zarzucić wędkę po raz drugi, kiedy usłyszał cichy głos tak świetnie naśladowający kosa, że aż się obejrzał szukając go za sobą. Rzucił pstrąga w krzaki i pędem pobiegł w stronę, skąd gwizd dochodził. Rozejrzał się, z trawy doleciał go syk węża. To pan Maciej leżał w wiklinie i ruchem ręki go przyzywał.

— Żórawie tańczą — szepnęła.

Wojtuś położył się obok niego. Cicho, wolno pełzając dosunęli się do polany, na której stało szesnaście — przeliczył je Wojtuś — pięknych żórawi. Były tak blisko, że można było dosięgnąć je ręką. Rozpoczął się taniec.

Tańczyły poważnie, jak panowie i panie w sali balowej. Utworzyli duże koło, a w nim drugie, mniejsze kółko wirujące w przeciwnym kierunku. Dwa ptaki stały na uboczu, wyprostowane, wydawały dziwne głosy, będące jakoby zespoleniem krzyku i śpiewu. Rytm tej muzyki był nierówny, tak samo jak taniec. Tancerze podnosili na przemian skrzydła i nogi. Raz jedno skrzydło, raz nogę, i tak na przemian, nie przestając wirować w koło. Dzioby schowały na piersiach głęboko, podnosząc niekiedy głowy i chowając je znów. Poruszały się bezdźwięcznie ruchami pełnymi wdzięku. Powiewały skrzydłami podnosząc je i opuszczając, jak wyciągnięte ramiona. Zewnętrzne koło obracało się wciąż powoli, wewnętrzne szybciej. Nagle ruch zamarł. Wojtuś myślał, że taniec się skończył, albo że ptaki odkryły ich obecność, ale stało



się inaczej. Dwaj muzykanci przystąpili do tanecznego kręgu, a ich miejsce zajęły następne dwa żórawie. Taniec został podjęty na nowo. Sylwetki ptaków kołysały się i odbijały od gładkiej tafli stawu.

Poprzez szuwary i wikliny powiał silniejszy wiatr.

Taniec był skończony.

Teraz ustawiły się w długi trójkąt, w kształt bata o długim biczysku i krótkim biczu. Rozprostowały skrzydła raz i drugi, wzniosły się i długim, pięknym kluczem z głośnym poszumem skrzydeł i klekotem pofrunęły na zachód.

Wojtuś zerwał się z ziemi z wyciągniętymi przed siebie ramionami, jakby je chciał za-trzymać. Stał jeszcze chwilę, kiedy pan Maciej wyjąwszy fajkę z kieszeni, spokojnie zaczął ją nabijać.

— Żórawie tańczą! Żórawie tańczą na-prawdę, a ja myślałem, że pan zażartował sobie ze mnie.

— Zażartował, zażartował — przedrzeźniał go leśniczy. — Niejedno jeszcze zobaczysz, jak będziesz w lesie siedział i wtedy zrozumiesz, że można las pokochać tak, jak ja go Kocham.

R. Zawistowska.

## LALECZKA

Z niepotrzebnych gałganków płótna, sukna itp. możemy uszyć lalkę. Rys. 1, 2, 3, 4 podaje nam formy: głowy, ręki, tułowia i nogi. Formy te dzięki kratkom możemy dowolnie zmniejszać lub powiększać.

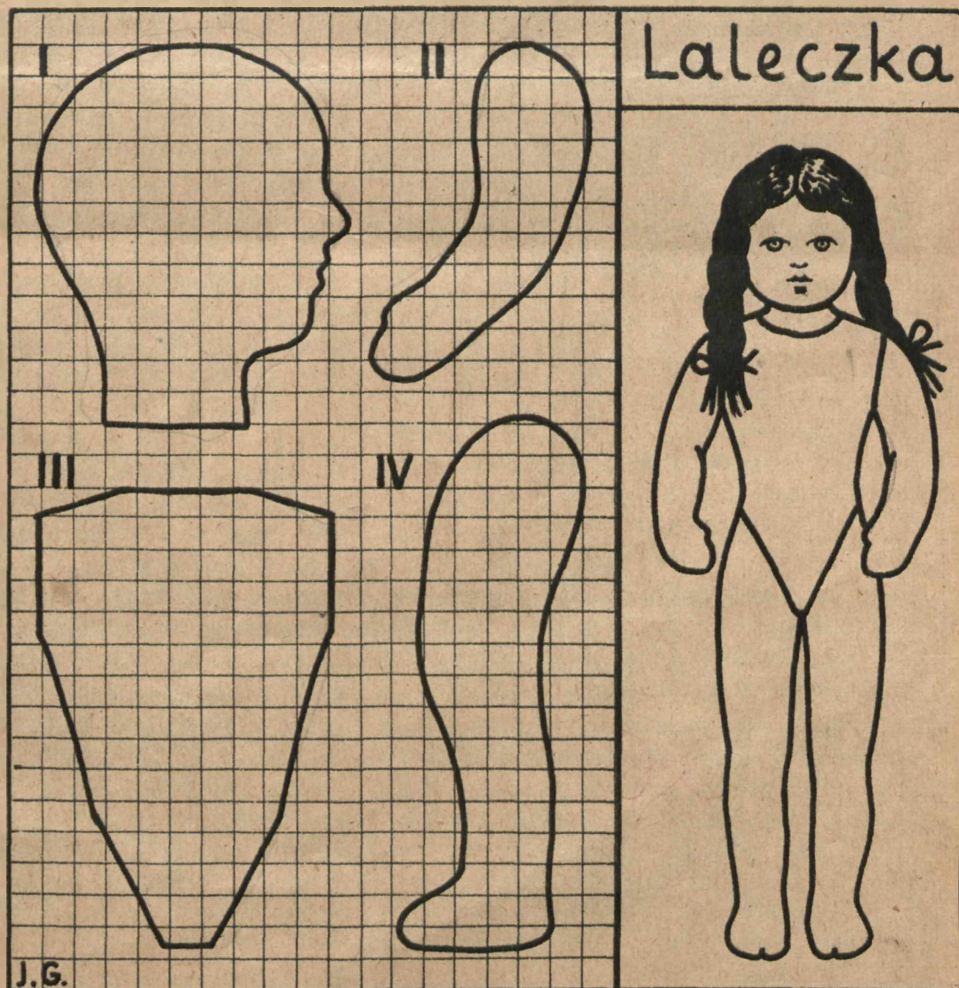
Materiał po-dwójnie skła-damy i przy wycinaniu form dodajemy wszędzie 1 cm na szwy, z wyjątkiem profilu twarzy, przy którym dodajemy tylko 5 mm. Szew wykańczają dzierganiem lub okrętkę, a potem rozdrapujemy paznokciem. Każdą część lalki osobno wypychamy trocinami, gałgankami, kapokiem itp. potem je łączymy nićmi.

O ile chcemy, by lalka miała rucho-

me nogi i ręce — przez kończyny i tułów przeprowadzamy sznurek, albo drut.

Włosy lalce możemy zrobić z lnu, konopi, wełny lub włóczki; oczy i usta pomalujemy farbą olejną, plakatową lub akwarelą.

I oto lalusia gotowa.





## Prawdziwa historyjka O CZERWONCE I TYFUSIE

Przykro jest być chorym, a już chyba najbardziej w lecie i jesienią. Tyle uciech i zabaw na dworze, a tu leż w łóżku. Słońce przygrzewa, duszno w pokoju, w polu jeszcze i w sadzie robota, a ty biedaku musisz leżeć w łóżeczku i męczyć się w gorączce. I to nie dzień, ani dwa, ale całe tygodnie.

— Cóż to stało się Bolkowi? — pytają się chłopcy jego rodziców.

— Nabawił się czerwonki — mówi ojciec. — Tak go prosiłem: nie jedz niedojrzałych owoców, nie pij wody z byle jakiej studni... Nie posłuchał. Oto skutek.

— Żeby tylko wyzdrowiał — wzdychała cicho matka.

Głupio się chłopcom zrobiło, bo to razem z Bolkiem strzäsali niedojrzałe zimowe jabłka i jedząc popijali wodą ze źródelka, a raczej z kałuży. Im się jakoś upiekło, a biedny Bolek męczy się teraz! Pożegnali się czym prędzej i wrócili do domu.

Nie minął tydzień, kiedy rozeszła się wiadomość, że Staszek, najbliższy przyjaciel Bolka także zachorował na czerwonkę. Następnego dnia to samo z Zygmuntem. A potem codziennie ubywało dzieci, po jednym, po dwoje... Pustoszała łąka i las. Wyludniały się klasy szkolne.

— Dzieci! — powiedział pewnego dnia pan kierownik. — Mamy niestety w naszej miejscowości epidemję czerwonki. Wiecie, jaka to ciężka choroba. Boga proszę, żeby ci, którzy już zachorowali, wyszli cało. Ale przynajmniej wy, którzy jesteście zdrowi, dołóżcie starań, aby nie zachorować.

— A ta stara Marianna ze sklepiu — wtrąca się któryś z chłopców — mówi że to dopust Boży, że to Pan Bóg zesłał na nas karę i nie można się sprzeciwić woli bożej.

— Nie powtarzajcie takich głupstw — napomniał go łagodnie pan kierownik. — Stara i ciemna kobiecina wierzy w przesady, które przynoszą niemniej szkody, jak same choroby. Posłuchajcie, opowiem wam, co to jest czerwotka i tyfus i jak człowiek może się tych chorób nabawić, a sami dojdziecie do przekonania, że przy pewnej wiedzy i dobrej woli można ich uniknąć.

— Tyfus i czerwotka — mówi pan kierownik. — Są to choroby zakaźne, to znaczy wywołują je drobne żyjątka, niewidoczne gołym okiem, zwane zarazkami albo bakteriami. Człowiek, który zachoruje na tyfus albo na czerwonkę, posiada w swoim organizmie miliony tych zarazków. Są one także na pościeli chorego, na przedmiotach, których używa, a więc na talerzach, w kubkach itp. Osoba, chora na tyfus albo na czerwonkę jest najważniejszym rozsadnikiem zarazków, które mogą się przedostać do organizmów innych osób.

— Człowiek chory — ciągnął dalej pan kierownik — wydziela zarazki w wydalinach. Stąd mogą się one dostać do wody, na przykład do rzeki, lub do źle zbudowanych studni. Człowiek zdrowy, który pije taką wodę, albo używa jej do zmywania statków, naczyń do mleka itd. może się zarazić tyfusem lub czerwonką, a także spowodować zarażenie się innych. Często do użyźnienia ziemi używa się obornika, w którym mogą się znajdować także odchody ludzkie, zanieczyszczone zarazkami obu tych chorób. Zakażają one grunt i wodę i czasem nawet produkty spożywcze.

— Jakże tedy uniknąć zarażenia się tyfusem i czerwonką?

— Przede wszystkim należy unikać ludzi chorych, lub tych, którzy chorobę tę dopiero przebyli, bo oni są głównym rozsadnikiem choroby. Nie należy się z nimi spotykać, ani ich odwiedzać, w domach takich nie należy nic jeść, a w razie konieczności spotkania się z osobami stykającymi się z chorym, myć dokładnie ręce.

— Ważną rolę w przenoszeniu tyfusu i czerwonki odgrywa woda. Pić wolno tylko wodę z wodociągu albo ze studni zakrytej i należycie ocembrowanej. Studnie, z których korzysta większa liczba rodzin, zwłaszcza jeśli nie posiadają stałego wiadra, lecz doczepiane, są bardzo często rozsadnikiem chorób. Woda taka nadaje się do picia dopiero po przegotowaniu. Nie należy zaś pod żadnym pozorem pić wody z rzeki, stawu, ani źródłek, które tak często ulegają zanieczyszczeniu zarazkami.

— Owoce jedzcie dojrzałe i w miarę. Powinny też być doskonale wymyte. Owoce zanieczyszczone mogą być również rozsadnikiem czerwonki i tyfusu. Dlatego należy bez-



warunkowo przed spożyciem myć owoce w czystej wodzie.

— No, a w końcu nie zapominajcie dzieci — mówił pan kierownik — o czystości rąk. W ciągu dnia dotykamy się różnych przedmiotów, walamy ręce ziemią, witamy się z kolegami, którzy może spotkali się z chorymi. Kto chce uniknąć czerwonki i tyfusu musi myć ręce. I to nie raz dziennie, kiedy wstaje, ale przed każdym jedzeniem, ażeby dotykając

pożywienia, nie zanieczyścić go zarazkami tyfusu i czerwonki.

— Czy już wiecie, jak się przenosi tyfus i czerwonkę?

— Wiemy, wiemy, — odrzyknęły dzieci chórem, a na ich twarzach znać było, że nie tylko wysłuchały tego, co powiedział pan kierownik, ale wzięły sobie jego słowa do serca. Bo i pocóż chorować, skoro mamy rozum po temu, żeby choroby zwalczać i ich unikać.

Dr. S.

## J E S I E Ń



Szelest opadłych liści jasną macią ciszę i najjaskrawsze barwy już ostatnich kwiatów płoną w słońcu. Wiatr drzewa leciutko kołysze i liści szmerem śpiewa pożegnanie latu.

Ranki się rozsnuwają srebrzyście i mgliście, złoto pali się w słońcu tysiącem promieni, roztańczyły się w wirze spadające liście w takt słonecznej a smutnej piosenki jesieni.

A jutro: jasne, chłodne, srebrne deszczu strugi przesłonią świat, jak szyba płynnego kryształu i przyjdą dni jesiennej, nieznośnej szarugi, która w gęstą mgłę stopi, osnuje świat cały

i tylko czasem w ranek szary i ponury  
przederze się poprzez chmury bledziutki  
promycalek  
i rozjaśni świat smutny, omotany w chmury  
wspomnieniem dni złocistych i pełnych  
słodczy...

Krystyna Chruścielska.





# ZADUSZKI

**J**ak fala złota,  
 jak duchów rzesza —  
 w cmentarne wrota  
 ludek pospiesza,  
 by w dniu żałoby,  
 w umarłych święto,  
 przystroić grobów  
 darń zapadniętą!...

Tutaj westchnienie  
 modlitwę głaszy;

*tam znów — wspomnienie  
 błąka się w duszy!*  
 A kędy ludzka  
 przepływa fala,  
 ktoś na mogiłkach  
 światła zapala  
 i śle strzeliste  
 w niebo błaganie:  
 „...Daj wiekuiste  
 im spoczywanie!...”

E. K.

## ŚWIĘTO ZMARIŁYCH

Święto zmarłych, dzień poświęcony pamięci tych, którzy odeszli, obchodzono u dawnych Lechitów, na Rusi i na Litwie na wiosnę. Pamięć i cześć dla zmarłych były wybitną cechą dawnych Słowian. W gajach, nad źródłami, u świętych drzew składano ofiary z jadła i napoju, aby dusze zmarłych miały wieczny odpoczynek. W obrządkach tych ważną rolę odgrywały jajka i oblewanie wodą. Woda miała znaczenie oczyszczające, a jajko było symbolem wiecznego życia.

Kościół jeszcze w XV wieku zwalczał te pogańskie zwyczaje, później jednak pozwolił zachować niektóre prastare tradycje, nie przywiązując do nich znaczenia, a święto zmarłych przeniósł na dzień 2-giego listopada w jesieni. Pozostałością starego obyczaju jest zwyczaj obdarowywania plebana w wigilię Zaduszek plonami pola i gospodarstwa. Jeszcze dziś na Mazowszu i Podlasiu lud składa w kościele dary: zboże, ptactwo, sery itd. W sam Dzień Zaduszek wierni składają ofiary na kościół na tacy ustawionej obok katafalka i obdarowywują zebranych przed kościołem i cmentarzem

żebraków. Jedynymi pozostałościami dawnego wiosennego święta zmarłych są u nas Zarękawki, obchodzone w Krakowie i Newski Dzień obchodzony na Polesiu.

Zarękawki obchodzi się w trzeci dzień świąt Wielkanocnych na wzgórzu Krzemionkowskim, na mogile Krakusa. Już rankiem ściągają tłumy ludu na nabożeństwo do pobliskiej kaplicy. Na całym wzgórzu gwarno od kramów, bud i tłumów Krakowian i okolicznego ludu. Po południu z kopca Krakowianie rzucają chłopcom miejskim i wiejskim jabłka, pierniki, chleb i jajka wielkanocne. Jest to pamiątka starosłowiańskiej stypy pogrzebowej, ugaszczania przybyłych na pogrzeb, którzy sypali zmarłemu mogiłę z ziemi znoszonej rękawami.

Dzień Newski obchodzą na Polesiu wczwartek po Wielkiejnocy. W białe płótna odziane gospodynie rankiem wychodzą na cmentarz. W zawiniątkach niosą resztki z wielkanocnej święconki. Uprzątają swoje mogiły, zaścielają je obruskiem i składają na nim dary. Poczem siadają naprzeciw mogiły i rozpoczynają wy-







woływanie swoich zmarłych. Biesiadując opowiadają im, co się działo w ciągu roku w gospodarstwie i na polu. Łamią kołaczki, kruszą ser, spożywają kielbasę i jajka, kropią wódkę, a część wszystkiego zostawiają na grobie.

Do dnia Zaduszek odnoszą się następujące przysłowia:

„Dzień Zaduszny bywa pluśny,  
niebo płacze, ludzie płaczą,  
a ubogich chlebem raczą,  
rozdając jałmużnę  
za duszyczki różne“.

„Wszyscy Święci śnieg się kręci,  
a w Zaduszki pada deszcz jak ze strużki“.

wg Glogera.

## KALINA

Rosła kalina z liściem szerokim,  
Nad modrym w gaju rosła potokiem,  
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,  
W majowym słońcu liście kąpała.

W lipcu korale miała czerwone,  
W cienkie z gałązek włosy wplecione.  
Tak się stroiła, jak dziewczę młode,  
I, jak w lusterko, patrzyła w wodę;

Wiatr co dnia cesał jej długie włosy,  
A oczy myła kroplami rosy.  
U tej krynicy, u tej kaliny  
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny

I grywał sobie długo, żałośnie,  
Gdzie nad krynicą kalina rośnie,  
I śpiewał sobie: dana, oj dana —  
A głos po rosie leciał co rana;

Kalina liście zielone miała  
I, jak dziewczyna, w gaju czekała.  
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną  
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,

Biedna kalina znać go kochała,  
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,  
Żywe korale wrzuciła w wodę,  
Z żalu straciła swoją urodę.

*Teofil Lenartowicz.*





Na pewnej stronie słownika ortograficznego, w dwóch wielkich kolumnach, jak dwie armie w szyku bojowym, stały naprzeciw siebie wyrazy piszące się przez h i ch lub mające w sobie te litery. Stały w równych szeregach i rozmawiały z sobą. Nie była to jednak zwyczajna rozmowa, o nie! Sprzykrzyło się biednym wyrazom stać w słowniku ciągle na jednej i tej samej stronie, w ciągle jednakowym porządku i — o zgrozo! — pisać się zawsze jednakowo przez h lub ch.

— Żle jest na świecie! — wzdychał cherlak. — Oj, źle!... Nigdy, a nigdy biedny wyraz nie może się pisać tak, jak chce, tylko jak mu człowiek każe. Haniebne życie!

— Nie dokuczajcie mi — jęknęła hańba, chyląc ku krawędzi strony swą biedną głowę. — Nie przypominajcie mi mego okropnego losu.

— Nie masz się czego przejmować — uspakajał ją honor. — To nie twoja wina, że tak ohydne znaczenie ci dano. Jesteś przecież uczciwym wyrazem...

— No, proszę! — nadęła się ohyda. — Ohydne znaczenie!... Obrażasz mnie!

— Nie chciałem cię obrazić, moja droga — przekładał ohydzie uspokajająco honor. — Mówię niestety tak, jak powiedziałby w podobnym wypadku człowiek. Wiesz przecież, że innym językiem nie potrafimy mówić. Nie raz więc mimo własnych chęci obrażamy się wzajemnie. Cóż na to poradzić?

— Oci, ta hałastra ludzka!... Jakże w tej chwili nienawidzę ludzi! — krzyknęła spazmatycznie histeria.

— Tak, tak. Mamy okropne życie! — rozlegały się tu i ówdzie narzekania. — Ludzie w stosunku do nas są zbyt bezwzględni.

— Nie powinno tak być! — huknął nagle potężnym głosem hejnał.

— Dość tego! Zbuntujmy się! — wybuch-

nął huragan. — Podnieśmy bunt przeciw prawidłom pisowni!

— Bunt? Przeciwko prawidłom pisowni? — przeraził się hamulec. — Dajcie spokój, co na to powie człowiek?

— Też?! Cóż ma powiedzieć? Boisz się człowieka? Toś tchórz! — powiedział wzgardliwie chwata.

— Nie obrażaj mnie! — uniósł się hamulec. — Mnie samemu dojadło już porządnie to życie w niewoli u człowieka. Tak samo jak wy pragnę jakiejś zmiany, ale, zanim zaczniemy działać, musimy się zastanowić, jak to wszystko przeprowadzić? I czy z tego buntu nie wynikną dla nas jakieś nieprzyjemności?

— Tu nie ma czasu na zastanawianie się! — krzyknął porywczco charakter. — Słuchajcie, co wam powiem! Narzekacie, że nie możecie pisać się dowolnie przez „h” albo przez „ch”, tak, jak sami chcecie, więc...

— Hurra! Wiem! To jest myśl! — huknął radośnie hufiec. — Dalej z szeregu! Zmieniajcie swoje „h” na „ch” i odwrotnie. Nuże! Ruszać się!

— Cha! Cha! Cha! Będzie heca! Będzie heca!

Powstało ogromne zamieszanie.

Jedne wyrazy wybiegały z szeregu w radosnych podskokach, inne stały niezdecydowane, spoglądając na siebie niepewnie, jak gdyby nie wiedziały, o co idzie. Do tych niezdecydowanych podchodził kolejno habit i coś im poważnie przekładał. Trudno było usłyszeć, co im mówił, bo wrzask panował okropny. Widocznie jednak prawił mądrze i przekonywująco, bo, przekonane już na dobre o konieczności buntu, wychodziły z szeregu i rozchodziły się po całej stronie, pogadując poważnie, krzycząc, rozpychając się lub gestykułując, zależnie od swych temperamentów lub usposobień.

Wyrazy z „h” i „ch” podchodziły do siebie



blisko, pozdrowiały się wzajemnie, uśmiechały się do siebie, no i zamieniały swoje „h” na „ch” i „ch” na „h”. Tak więc chata zamieniła swoje „ch” na „h” z harbuzem, hak wziął „c” od chaosu, handel od chemii, bohater od chłodu itd. Przy tej zamianie jednak panował taki harmider, że harmonia zakryła swoje delikatne uszy, a hałas, choć przyzwyczajony do zgiełku, zgiął się, zwinął i krzycząc: „Uważajcie! Nie stratujcie mnie! Nie krzyczcie!” Usiadł na środku stronicy w tłumie rozkrzyczanych wyrazów. Potknął się o niego humor, przewrócił się i potracił hołd, który właśnie prosił chłopca, aby mu odstąpił swoje „c”.

— Uważnij! Uważnij! — krzyknął potracony. — Dlaczego taki rozpęd?

— To nie moja wina — usprawiedliwiał się humor — to ten hałas!...

Spojrzał gniewnie w kierunku hałasu i pogroził mu pięścią. Hałas zerwał się ze stronicy i roztrąciwszy po drodze stojącą grupę wyrazów podbiegł do humoru.

— Ośmielasz się mi grozić? Uważaj! Wiesz, że mam mocne pięści i grzmocić potrafię nie najgorzej, że nie będziesz mógł usnąć. Ze mną mieć sprawę, to nie bagatelka... Jestem silny!

— Nie chwaliłbyś się siłą, której nie posiadasz — napomniał go ostro hrabia. — Sprawiasz tylko zamieszanie, mój drogi. Hultaj z ciebie.

— Hultaj? To z ciebie hultaj, mój hardy hrabio! — rozszłościł się jeszcze bardziej hałas.

— Ja, hrabia, hultaj!!! Zgroza! — Biedny hrabia aż chwycił się za głowę, a hałas ucieszony, że pogromił hrabiego, krzyczał dalej:

— Hrabia?! Wielki mi hrabia! Chłystek, nie hrabia! Tak samo jak humor... Wielki mi wyraz! Phi! Nicponie obaj! Hołota wyrazowa! Nie warcy, by się do nich odzywać... Co to? — krzyknął nagle jeszcze głośniej, czując, że go ktoś mocno chwycił za literę „s”. Szarpnął się, ale nic nie pomogło. Odwrócił więc głowę, by zobaczyć śmiałka, który odważył się go zaczepić. Był to halabardnik.





— Co to znaczy? — wrzasnął. — Co za śmiałość?

— Halt! Dość tego harmidru. Ani słowa więcej! — rzekł przyciszonym głosem halarbardnik. — Jeszcze jedno słowo, a wyrzucę cię z naszej stronicy. Sprawiasz nieporządek, zamieszanie i zamęt. No, będziesz cicho?

— Puść mnie! — wrzeszczał hałas. — No, puść mnie!

— Ani mi się śni! Nie puszczę, jeśli nie przyrzekniesz, że się uspokoisz natychmiast.

— Puszczaj! Puszczaj, chłystku! Ja ci pokazę...!

— No, pokaż! — zaśmiał się drwiąco halarbardnik.

— Nie kłóćcie się! — uspokajał podniecone wyrazy hiacynt. — Nie kłóćcie się, nie warto!

— Tak! tak! Nie kłóćcie się! — zaczęły wołać wyrazy jedno przez drugie. — Nie róbcie harmidru!

Wtem... Cały tłum wyrazów jakby zmartwiał.

— Co to? Co się dzieje? — pytały się wzajemnie strwożone wyrazy. Nikt nie wiedział co się stało, ale wszyscy odczuli doskonale, że zaszło coś szczególnego.

— Człowiek! — jęknął nagle horyzont, słyszawszy szelest przewracanych kartek słownika.

— Człowiek! — powtórzył tłum wyrazów, zmartwiały ze strachu przed tym, co powie człowiek na ten nieporządek, na te pozamianie głoski, na tę rewolucję przeciwko prawidłom pisowni. Co powie i co zrobi? Czy...

— Och!... — odezwał się zbiorowy krzyk i przerażony tłum wyrazów ujrzał twarz człowieka.

Człowiek patrzył i patrzył, nagle krzyknął:

— Co to za maskarada?

Zapanował chaos. Zakotłowało się, zakłębiło. Haftka zaczepiła o chałat i rozdarła mu „ł“, hiena wpadła na chlew, choinka przewróciła hak, chochoł złapał swoje zgubione „c“ i kręcił się z nim w kółko jak obłąkany, humor ciągnął humoreskę, aby stanąć z nią w szeregu. Za chwilę jednak wszystko wróciło do dawnego porządku.

Na stronicy ortograficznego słownika zapanował spokój.

*Maria Karwińska.*

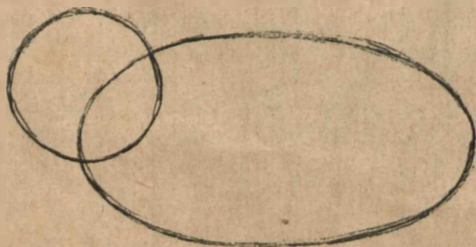


## uczymy się rysować



Czy umiecie rysować? Spróbujcie! To nie jest takie trudne, gdy się wie, od czego zacząć. Pokażemy wam, jak to łatwo można narysować kotka, konika i krówkę. Zaczniemy od rysowania kotka.

Najpierw rysujemy elipsę i dorysowujemy kółko. Przecież to takie łatwe!

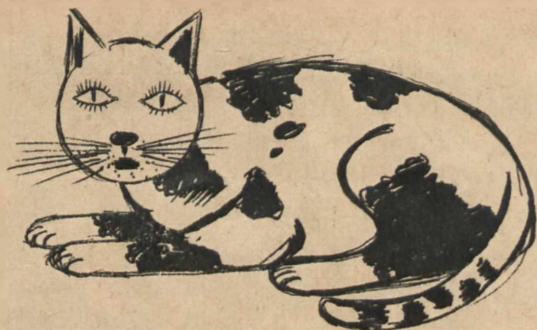


A teraz łapki i ogonek.



Potem uszka, oczy i pyszczek. Możemy mu jeszcze dorysować łapki. A kotek już narysowany leży, łapki ma wyciągnięte i mruczy zadowolony.





Czy i konika też tak łatwo narysować?  
Zobaczmy!

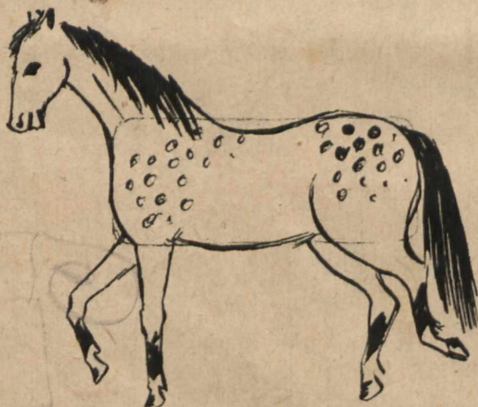
Najpierw rysujemy prostokąt...



...dorysowujemy szyję i grzbiet.



Potem głowę i nogi. Wreszcie wykończamy,  
a konik stoi i nóżką grzebie. Czy ładny?



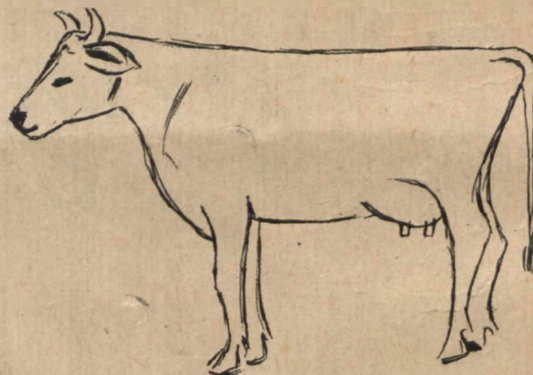
Teraz narysujemy krówkę. Trzeba naprzód  
narysować taki czworokąt z dwoma równo-  
ległymi bokami.



Potem trzema kreskami łeb, jednym łukiem  
podgardle, następnie ogon.



Z kolei dorysowujemy rogi, uszy, łeb, nogi,  
wymiona.



Hej, Krasula, do obory!

Mieczysław Sysło

## TRUDNE ROZWIĄZANIE — CHOĆ ŁATWE ZADANIE

Do sklepu z kapeluszami p. Kaczorka przyszedł klient. Kupił kapelusz za 27 zł. Zapłacił banknotem 50 zł. P. Kaczorek nie miał drobnych. Pobiegł do sąsiada, p. Wróbelka, właściciela sklepu kolonialnego, aby zmienić ów banknot. Po zmianie pieniędzy p. Kaczorek powrócił i wydał klientowi resztę pieniędzy. Klient pożegnał kupca i wyszedł ze sklepu z nowym kapeluszem i otrzymaną resztą. Po chwili przybył zdenerwowany p. Wróbelek z owym bankno-

tem 50 zł. i oświadczył zdumionemu p. Kaczorkowi, że owe 50 zł jest fałszywe. P. Kaczorek zmartwił się bardzo i przyrzekł, że do wieczora zwróci p. Wróbelkowi należne mu 50 zł, a ów nieszczęsny banknot zabrał z powrotem, aby go zniszczyć. Kto z was prędzej obliczy: Ile ogólnie stracił w tym dniu pan Kaczorek?

J. G.



## TECZKA \* TORNIS TER

Do zrobienia tornistra musimy sobie przygotować: impregnowane płótno, tekturkę, podszewkę, cztery sprzączki, jedną klamerkę.

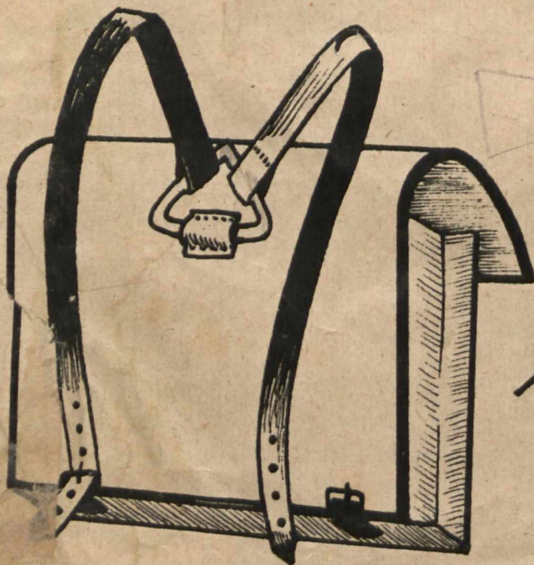
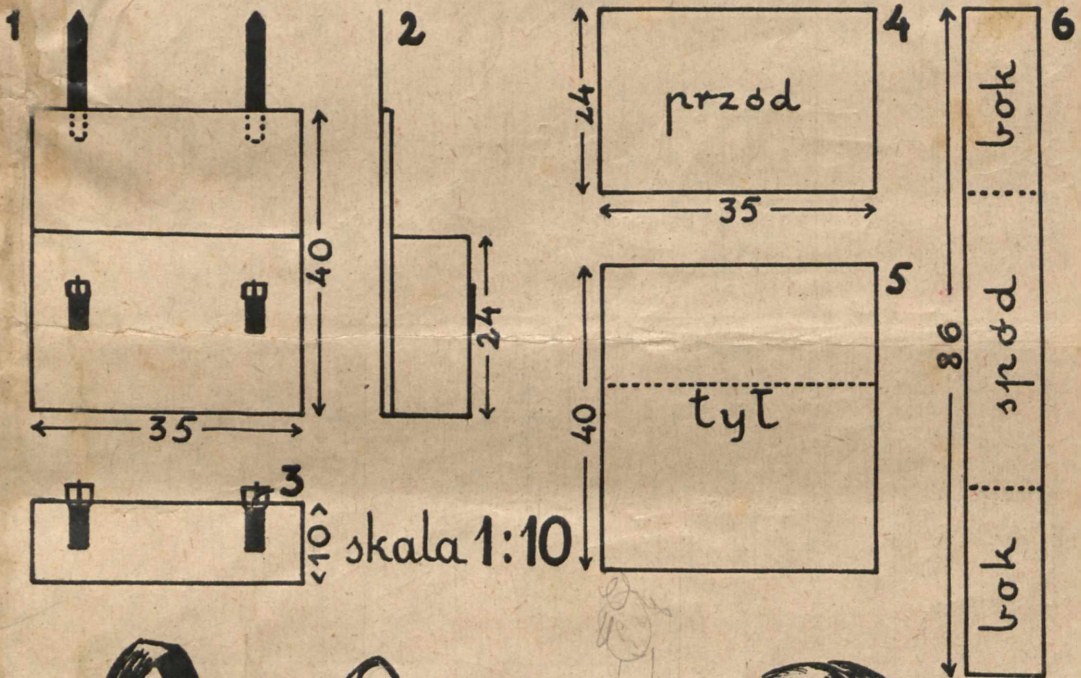
Wycinamy formy z papieru: przód (rys. 4), tył (rys. 5) i dwa boki ze spodem (rys. 6). Papierową formę rozkładamy na materiale, dodając z każdej strony na szew po jednym centymetrze, przypinamy szpilkami i wycinamy. To samo robimy z podszewką. Następnie zszywamy po lewej stronie wierzch z podszewką, zosawiając jeden bok niezszyty dla wsunięcia tekturki między materiał i podszewkę. Tekturki umieszczamy na przodzie i tyle tornistra o rozmiarach 22 cm × 33 cm. Tył tornistra przy górnej krawędzi tekturki stebnujemy na maszynie, żeby tektura nie unosiła się do góry, a następnie

umocowujemy klamerkę za pomocą kawałka rzemienia lub mocnego materiału. Do klamry przyczepiamy rzemienne paski lub z impregnowanego płótna. Przed zszyciem przodu i tyłu z podszewką przyszywamy sprzączki, przytrzymując je rzemieniem. Górna część tyłu stanowi klapę tornistra, do której przyszywamy paski. Do przodu i tyłu doszywamy spód ze sprzączkami i dwa boki. Brzeg tornistra możemy obramować skórą lub płótnem.

Rys. 1. przedstawia przód tornistra i klapę; rys. 2 przedstawia tornister z boku; rys. 3 — od spodu.

Jeżeli chcemy mieć ręczną teczkę zamiast tornistra, wykonujemy tak samo pudło, tylko paski na ręczki przyszywamy inaczej.

J. G.



J. GROMULSKA





